MAŁY POSŁANIEC

Dodatek bezpłatny do „Dziennika Bydgoskiego." Wychodzi co 2 tygodnie.

Nr. 15. | Bydgoszcz, niedziela 26 lipca 1908. | Rok I.

„Gość w dom, Bóg w dom."

W pewnym mieście zwanem Kruświca, zgromadziło się raz dużo ludzi, by sobie wybrać księcia.

Ci przyjechali konno, tamci na wózkach inni pieszo przyciągnęli. A każdy zabrał ze sobą trochę pożywienia: mięsa, sera, chleba, co kto miał pod ręką. Rozłożyli się ludzie obozem szeroko, daleko, radzą jeden dzień, radzą drugi, nic uradzić nie mogą. Ci chcą tego wybrać na pana, tamci innego. Brakło zgody w tem zebraniu.

Tymczasem zapasów żywności wciąż ubywa. Wreszcie nic nie zostało. Kto miał pieniądze szedł do gospody, kto nie miał, głód cierpiał.

Ale i w gospodzie niedługo wszystko wypili i wyjedli. I nic dziwnego, ludu było wiele, jak mrówek w lesie, bo dla tak ważnej sprawy, jak wybór księcia, każdy rzucał choćby i najpilniejszą robotę i na obrady spieszył.

— Co tu robić? myślą ludzie. Do domu wracać nie można, boć książę jeszcze nie wybrany, a jedzenia zabrakło. Głód dokucza. Idźmy do chat, prośmy o chleb, może kto sprzeda, może kto nas nakarmi. Poszli, pytali tego i owego, lecz daremnie.

— Jakże wam chleb sprzedawać mamy, kiedy dla nas samych nie staje.

Taka wszędzie prawie brzmiała odpowiedź.

— Ha, poszukajmy dalej. Popłyńmy na drugi brzeg jeziora. U rybaków pewnie ryby nie braknie.

Ale u rybaków znaleźli tylko coś nie coś drobiazgu rybiego, więc też odrazu zgotowali to i spożyli. Do zaspokojenia głodu było jednak daleko.

Mają już wracać, wtem patrzą, na uboczu pod lasem, ubożuchna chata stoi.

Była to zagroda kołodzieja Piastuna, którego przez skrócenie Piastem zwano.

Siedział właśnie Piast przed chatą, strugał koło, kiedy ci głodni przyszli i mówią:

— Czy nie macie chleba na sprzedaż? Jeść chcemy.

— Chleba nie sprzedaję, jeno koła do wozów, ale tem co mam z gośćmi podzielę się chętnie. „Gość w dom, Bóg w dom."

Usadził ich za stołem, przyniósł z komory bochen chleba razowego, i mięsiwa, i sera, i miodu do picia.

Najedli się ludzie do syta, podziękowali potem gospodarzowi i odeszli.

A Piast każdego jeszcze zapasem chleba obdarzył na drogę.

I mówił:

— Weźcie, żeby wam znowu prędko głód nie dokuczył.

Wrócili ludzie do miasta, rozpowiadają znajomym i towarzyszom co ich spotkało.

— A jaki tam ład i czystość u tego Piasta! A jaki on gościnny! Jaki dobry!

Drudzy słysząc to rzekli.

— Wiecie co? Kiedy on taki gościnny to i my chodźmy do niego.

Znowu więc liczna gromada przyszła do piastowej chaty. Znowu gospodarz wszystkich nakarmił i ugościł.

A gdy odeszli, przywołał Piast żonę swą Rzepichę i powiada do niej:

— Miła żono! Bóg pobłogosławił naszą zagrodę, nakarmiliśmy sporo ludzi, ale tam nad jeziorem wielu głodnych pozostało jeszcze. Popłynę do nich, chleba im zawiozę. Idź, przynieś zapasów z komory.

— A czy dla nas samych starczy? — odparła Rzepicha. Boję się żebyśmy także braku nie zaznali.

— Nie bój się. Toż ostatni kęs chleba z głodnym podzielić należy. Spiesz się tylko. I wybierz co masz najlepszego.

Naładował Piast dwie łodzie po same brzegi.

Czego tam nie było. I kołacze białe i sery okrąglutkie i wieprzak karmny i kobiałki z jajami i grzybami i worki z kaszą i miodu baryłka. Całe bogactwo chaty.

Do jednej łodzi wsiadł Piast z maleńkiem synaczkiem Ziemowitem do drugiej dwaj silni parobcy.

Popłynęli z chlebem ku braciom, którzy głodni, po drugiej stronie jeziora obozowiskiem leżeli.

A gdy już był brzeg niedaleki i widne tłumy stojące pod drzewami, ujął Piast róg bawoli, wiszący mu u pasa i zadął w niego rozgłośnie.

Odpowiedziano mu okrzykiem.

— Piast płynie! Chleb nam wiezie!

Powtarzały się odwiedziny ludu w Piastowej chacie, powtarzał się dowóz żywności.



Władysław Herman.

I dziw nad dziwami! Jak się to stało nikt nie wie, ale choć Rzepicha ciągle czerpała z komory, zapasów nic nie ubywało. Wciąż leżały stosy kołaczy, wisiały połcie mięsa, wianki grzybów suszonych, wciąż pełna było miodu w kadzi.

Dziwili się ludzie ogromnie tej zamożności kołodzieja i mówili.

— A to ci dobry gospodarz z tego Piasta.

— A jakie ma serce! A jaki gościnny!

Przychwalali go sobie, przychwalali, wreczcie ktoś rzekł:

— Co nam szukać innego pana. Umie Piast dobrze gospodarować w swej chacie będzie umiał i w kraju rządzić.

Trafiły wszystkim te słowa do serca i do rozumu.

Tedy zakrzyknięto chórem.

— Piasta chcemy! Piasta chcemy! Niech on nad nami panem będzie!

Stało się według woli narodu.

Piast został wybrany na pana całej polskiej ziemi, rządził krajem dobrze i sprawiedliwie, a po nim rządzili jego syn, wnukowie, prawnukowie; długo... długo...

. . . .

. . . .

Sześć opowiadań skończonych... Jest w nich prawda, jest i zmyślenie. A dla czego szczerej prawdy niema?

Dlatego, że rzeczy owe działy się w czasach tak dawnych, tak dawnych, że wyliczyć kiedy to było, ani sposób.

Ludzie nie umieli wtedy ni czytać, ni pisać, tylko jeden drugiemu to co stało się opowiadał, a opowieść z ust do ust podawana szła dalej... dalej, z ojca na syna, z syna na wnuka.

Dlatego to i owo zmienione jest lub przekręcone, dlatego takie wpół prawdziwe opowieści nazywają podaniami, a czasy te, czasami bajecznemi.

Bolesław Śmiały.

Straszliwa zbrodnia, spełniona na poświęconej osobie Biskupa najsmutniejszę pociągnęła za sobą skutki. Papież Grzegorz VII rzucił klątwę (interdykt) na cały naród, króla ogłosił za pozbawionego tronu — a następcom jego odmówił prawa noszenia korony. Czuł to zresztą dobrze sam król Bolesław, że ręka zmazana krwią niewinnego, niegodną była królewskiego berła i Szczerbca chwalebnego Bolesława Chrobrego. Więc opuściwszy kraj wraz z synem mieczysławem udał się do Węgier a stamtąd do Karyntyi, gdzie w samotnym klasztorze wśród surowej pokuty, postu i milczenia dokonał życia jako skromny, pokorny zakonnik.

Dopiero przed śmiercią (1090 r.) uczyniwszy korne wyznanie grzechów, objawił zdumionym braciom zakonnym swą godność i ciężką winę.

Polska zaś, owa najwierniejsza córka Kościoła, która z młodzieńczym zapałem w imieniu Krzyża walczyła i zwyciężała pogańskie hordy — Polska, rycerz i bojownik Chrystusowy odziała się szatą pokutną i długie lata pozostawała w poniżeniu, dopóki dzielni znów królowie, godni potomkowie Piastów, na nowo ukoronowali się koroną Bolesława i wznowili dawną świetność narodu.

Walka ta króla z biskupem czyli władzy świeckiej z potęgą duchowną wykazała na nowo, że powaga Kościoła w Polsce już tak silnie była ugruntowaną, iż wobec niej ukorzyć się musiał nawet monarcha. I nie był zwycięzcą w tej walce król morderca, lecz męczennik zamordowany.

Kościół św. Stanisława uznał za świętego, wdzięczny zaś naród obrał go swym najprzedniejszym patronem.

Istnieją piękne podania o św. Stanisławie. Na prośbę jego pewien umarły został na czas pewien wskrzeszony, aby przed sądem zdać świadectwo o niewinności Biskupa. Ciało zaś jego pokaleczone i porąbane cudownym sposobem zrosło się i stało się piękniejszem niż kiedykolwiek.

Te cuda możemy uważać za symbol przyszłych losów naszego narodu, za zapowiedź świetnego zmartwychwstania Polski.

Władysław Herman.

Po dwóch latach bezkrólewia nastąpił po Bolesławie Śmiałym Władysław Herman, syn Kazimierza Odnowiciela. Był to monarcha łaskawy i dobrotliwy, lecz słabego charakteru, ztąd też na cudzem zdaniu najczęściej polegał. Nie lubił wojny, a gdy był do niej zmuszony, oddał dowództwo ulubieńcowi swemu Sieciechowi.

Dzielny ten i przebiegły wódz zdołał uśmierzyć zbuntowanych Pomorzan i Prusaków utrzymać w hołdownictwie, co było niezmiernie ważnem w zewnętrznej polityce Polski. Natomiast rządy jego w kraju oburzyły nań wszystkie umysły. Nadużycia i zdzierstwa, jakich Sieciech się dopuszczał, z drugiej strony niedołęztwo króla Władysława zniechęcały serca poddanych. Dwaj synowie królewscy, Zbigniew i Bolesław utworzyli partyę przeciwną ojcu i Sieciechowi, przez co wywołali długie zatargi w kraju. W końcu Sieciech został wygnany, król zaś umierając podzielił Polskę pomiędzy dwóch niegodnych braci.

Umarł r. 1102, pochowany został w Płocku.

Za jego panowania wiele żydów przywędrowało z Niemczech, gdzie srogie cierpieli prześladowania, do Polski, gdzie znaleźli gościnne przyjęcie, spokój i dobrobyt.

Ogniem i mieczem.

Powieść z lat dawnych

Henryka Sienkiewicza.

(Ciąg dalszy).

Chmiel zajął Korsuń bez oporu, a pod Krutą Bałką straże jego natknęły na polski obóz. — Tej bitwy nie widzał Skrzetuski, bo został w Korsuniu, lecz ciągle przybiegali tu Kozacy z wieściami. W mieście gospodarzyli pozostali niżowcy okropnie, krwawo, po szatańsku. Zachar kazał ćwiczyć ich bez miłosierdzia — bo choć Kozacy przyjmowali w czasie wojny pomoc czerni, to jednak pogardzali nią mocno. Sam Chmielnicki często darowywał znaczną ilość czerni tatarom, którzy ją gnali do Krymu, a stamtąd sprzedawali do Turcyi i Azyi mniejszej.

Z pod Krutej Bałki przynoszo wieści niepomyślne dla Kozaków, — Skrzetuskiemu serce rosło. Niebawem jednak zaczęły nadchodzić wiadomości o przewadze zaporożców a w końcu o pobiciu Lachów.

Huk armat ustał, dał się słyszeć z dali turkot wozów.

Jadą! Nadjechali kozacy w żółtych czapkach.

Skrzetuski rękę do czoła przytknął i wpatrzył się w postacie jeńców, siedzących na pierwszym wozie. Nagle cofnął się, rękoma począł bić powietrze, jak człowiek strzałą w piersi trafiony, z ust wyrwał mu się krzyk straszny, nadludzki:

— Jezus Marya! To hetmani!

I padł na ręce Zachara. Oczy zaszły mu blachmanem, a twarz stężała i zakrzepła, jak u ludzi umarłych.

V.

W obozie kozackim spodziewano się lada chwila księcia Wiśniowieckiego. Wkrótce po bitwie pod Krutą Bałką okrzyk: „Jarema idzie!“ rozległ się między kozakami i rzucił popłoch między cierń, która poczęła ślepo uciekać.

Chmielnicki rozważał to dobrze, bo nie wiedział, jak się zmierzyć z tym olbrzymem, którego samo imię w popłoch wprawiało kozactwo.

Sądził że będzie go można łudzić jeszcze układami i wtym celu postanowił wypuścić Skrzetuskiego na wolność. Ale temu na wieść o wolności żaden nawet uśmiech twarzy nie rozjaśnił. Wyglądał jak cień. Wleczony wszędzie z kozakami, przypatrzył się wszystkiemu, co się działo, cierpiał bardzo i byłby umarł ze zgryzot. A gdy pomyślał, że takie same niebezpieczeństwo grozić mogło Helenie, to już prosił Boga o śmierć nawet.

I kto był sprawcą tego wszystkiego? — Chmielnicki — a on go od powroza oderznął! Lecz czyż mógł jako rycerz chrześciański spodziewać się, że ratunek podany bliźniemu takie wyda owoce?

Chmielnicki dał Skrzetuskiemu buławę bezpieczeństwa i kozaków do obrony. Krzeczowski go odprowadzał, a w drodze namawiał jeszcze, by przystał do Chmiela.

— Mógłbyś zajść tak daleko, jak my zajdziemy — mówił do Skrzetuskiego.

— Na szubienicę — odparł tenże ponuro.

Jechali przez rynek Korsunia, zapchany cały zaporożcami i czernią. Jedni i drudzy warzyli kaszę, śpiewając pieśni o zwycięstwie żółtowodzkiem i korsunkiem. Tu i owdzie leżały ciała pomordowanych, lub sterczały piramidki z głów, uciętych po bitwie zacnym żołnierzom.

W drodze do Rozłogów przedstawiały się oczom Skrzetuskiego coraz groźniejsze straszliwsze obrazy. Kraj był pusty, siedziby ludzkie wyludnione. Tu i owdzie kazał pan Skrzetuski szukać w sadach, pasiekach, po zapolach, strzechach i stodołach, ale nie można było znaleźć nikogo.

Dopiero za Pohrebami jeden z tatarów dostrzegł jakąś postać ludzką, usiłującą skryć się między szuwarami obrastającemi brzegi Kahamliku. Skoczyli ku rzece i w kilka minut przywiedli dwóch ludzi prawie całkiem nagich, przerażonych, odpowiadających na wszelkie pytania: „ne znaju!“ Gdy na pytanie, czy byli w Rozłogach także odrzekli: „ne, ne buw“, zagroził im Skrzetuski powieszeniem, Wnet się tedy przyznali, że byli i widzieli, jak tam zjechali „łycari“, lecz nie umieli powiedzieć, co to było za wojsko — polskie czy kozackie.

Usłyszawszy to namiestnik jak szalony popędził ku Rozłogom. Wpadli w las, mignęli jak błyskawica, wpadli w jar, za jarem tuż Rozłogi.

Nagle krzyk nieludzki, straszny, wyrwał się z piersi p. Skrzetuskiego.

Dwór, lamusy i stajnie, stodoły, częstokół i sad wiśniowy — wszystko znikło.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zagadka.

Pierwsze pół miasta co wam myśleć każe
Drugie, to w szkole potrzebujecie...
Sokoli mają drugie i trzecie...
Dziecię ci trzecie w abecadle wskaże...
Całe gdyś w polu, pośród igraszek
Zobaczyć możesz, bo to jest ptaszek.

Rozwiązanie zagadki z ostatniego numeru „Małego Posłańca“:

„Warkocz.“

Trafne rozwiązanie nadesłały następujące dzieci: Piotr Pawłowski z Strzelna, E. Korytowski z Koronowa, Halina Brzezińska z Gniezna i Jadwiga Hausa z Herne w Westfalii (otrzyma nagrodę).

Drukiem i nakładem Jana Teski w Bydgoszczy. Redaktor odpowiedzialny Bogusław Domiński w Bydgoszczy.